

A dark brown silhouette of a man in profile, facing right, with a cigarette in his mouth. He is standing and looking towards the right side of the frame.

Cmentarze

**MAREK
HŁASKO**

Marek Hłasko

CMENTARZE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-92-1

Copyright © Małgorzata Wolf, Agnieszka Czyżewska-Stempa

Tekst: Elf, Warszawa 2004

Jeden u nas porządný człowiek – prokurator;

ale i ten, prawdę mówiąc, świnia...

Gogol, Martwe dusze

Franciszek Kowalski, czterdziestoosmioletni, szczupły, nieznacznie łysiejący mężczyzna o czerstwej cerze, kościstych policzkach i niebieskich oczach, wódkę pił niesłychanie rzadko, tylko przy nadzwyczajnych wprost okazjach, a nigdy nie zdarzało mu się, aby przebrał miarę i aby potem inni musieli go informować o tym, co mówił i jak się zachowywał. Był on jednym z niewielu ludzi, którzy budząc się rano nigdy nie potrzebują się wstydzić swego poprzedniego wieczoru. Lecz pewnego dnia, wracając późnym wieczorem do domu z zebrania partyjnego, które ciągnęło się przez wiele godzin i na którym wielokrotnie musiał zabierać głos w sprawach ważnych dla niego i ludzi, z którymi pracował, spotkał swego serdecznego przyjaciela jeszcze z czasów partyzantki. Nie widział się z nim od roku czterdziestego piątego, kiedy to on sam pomaszerował na front, a jego przyjaciel, ciężko wówczas ranny, pozostał w szpitalu już do końca dni wojny. To spotkanie ucieszyło ich tak szalenie, że postanowili je uczcić kieliszkiem wódki i udali się do najbliższej restauracji. Przyjaciel zażądał od kelnera ćwiartki, a kiedy ukazało się dno, Franciszek przywołał kelnera i, aby jego przyjaciel nie pomyślał o nim, że od czasów partyzantki zdiagnozował zupełnie, polecił kelnerowi, aby podał następną. Ta ich tak rozochociła, gadało im się tak dobrze, wyblakły czas nabrał w ich oczach tak krwistych barw, że trzeciej zażądali nieomal jednocześnie, a już potem, czwartą, postawił im, o nic nie pytając sam kelner. Kiedy wychodzili, dniało już, a na szarym niebie poczęły rysować się pierwsze pasma jasności. Pożegnali się czule, ściskając sobie przez długi czas dłonie, potem każdy z nich ruszył w swoją stronę.

Franciszek kroczył dzielnie, wpatrując się w linię chodnika, lecz czuł, że jakieś nieznane mu dotąd siły kołyszają go na boki, a linia trotuaru raz po raz wymykała się z jego pola widzenia. „Zdaje się – zamruczał – że trochę... tego... co u diabła...”. I nagle, niespodziewanie dla samego siebie, zaśpiewał tenorem:

*Ty polski lesie – dlaczego tak kochamy ciebie?
 Że w gąszczu twym czujemy się jak gdyby w niebie.
 Spod skrzydeł twoich,
 Bezpiecznie kierujemy na wroga broń...*

Jacyś ludzie w kombinezonach idący do pracy roześmiali się i obejrzeni za nim. To go tak rozzłościło, że również przystanął.

– Co, u diabła! – krzyknął. – Myślicie, że może jestem zalany?

Tamci przeszli, lecz Franciszek krzyczał dalej:

– Myślicie, że jestem zalany?! Kto jest zalany? Ja jestem zalany? Wszystko kłamstwo. Sami jesteście zalani, ot i tyle...

Nagle zobaczył przed sobą dwóch milicjantów. Patrzyli na niego zimno i ze skupieniem. Franciszek chciał powiedzieć coś do nich, lecz wciąż jeszcze miał przed oczami tamtych, którzy go zaczepili, i zamiast słów przeprosin, po raz któryś krzyknął:

– Sami jesteście zalani!

Teraz milicjanci zbliżyli się o krok i nagle otrzeźwiony Franciszek zobaczył ich twarze zupełnie z bliska. Byli to młodzi ludzie, jeden w randze kaprała, drugi, z trzema paskami – plutonowego. Plutonowy był bardzo piegowaty i miał zadarty nos, a Franciszkowi zdawało się, że jego błękitne oczy patrzą spod okutego daszka z zimną groźbą.

– Dowód pozwólcie, obywatelu – powiedział plutonowy.

Sztywnym ruchem wyciągnął rękę i Franciszek cofnął się.

– Dowód? – wybełkotał ze zdumieniem. – Dlaczego?

– Proszę dowód – powtórzył plutonowy, a głos jego brzmiał odrobinę wyżej niż przed chwilą.

Franciszek sięgnął ręką do kieszeni, w której trzymał portfel, lecz kiedy dotknął chłodnej skóry, zatrzymał się.

– Ależ... – począł mówić.

Wtedy milicjant w randze kaprała, który stał dotychczas bez ruchu i słowa, bacznie śledząc każde poruszenie Franciszka, krzyknął nachylając swoją twarz ku niemu:

– Dowód. Rozumiecie czy nie?

Teraz Franciszek wyciągnął portfel. Otworzył go drżącymi rękami i podał dowody plutonowemu. Ten obejrzał je, potem oparł swą skórzaną torbę o kolano i począł coś pisać w małej zatłuszczonej książeczce oprawnej w czarną ceratę.

– Cóż wy piszecie, jeśli można wiedzieć? – zapytał Franciszek usiłując zajrzeć plutonowemu przez ramię.

Plutonowy nie odpowiedział; pisanie w tak niewygodnej pozycji szło mu ciężko i Franciszek widział, jak marszczy czoło i wysuwa koniuszek języka. Po chwili znów zapytał:

– Dlaczego spisujecie mój dowód?

– Co, może nie podoba się wam? – zapytał ostro kaprał. – Milicja wam się może nie podoba, obywatelu?

– Nic takiego nie mówiłem – równie ostro odparł Franciszek. Spojrzał na pucołowate policzki kaprała i uczuł, że zaczyna się trząść ze złości. Alkohol wywietrzał mu już zupełnie.

– Teraz nie – powiedział kaprał i wykrzywił swą dziecinną buzię w złośliwym uśmiechu. – Ma się rozumieć, że teraz nie. Ale przed chwilą to potrafiliście wyzywać milicję od pijaków.

– Kto? Ja?

– Nie. Pani Malinowska.

– No, no. Tylko nie tym tonem, proszę – powiedział z oburzeniem Franciszek.

– Teraz to nie tym tonem. Ale przedtem potrafiliście krzyczeć, że jesteśmy zalani. – Spojrzał na Franciszka z wyższością i powiedział dobitnie: – Obrażacie mundur, obywatelu.

– Kłamstwo! – krzyknął z pasją Franciszek.

Kaprał zwrócił się do plutonowego, który przez cały czas pisał coś uparcie w swojej czarnej książeczce:

– Słyszysz? Ten obywatel powiada, że my kłamiemy. Zapisz to.

Franciszek raz jeszcze popatrzył na ich młode twarze i wstąpiła w niego furia. Podniósł obie ręce do góry i potrząsając nimi dziko, zawył:

– A zapisz to, gówniarzu, zapisz. Zapisz i to, że mam cię w dupie, że na wszystko...

Stracił zupełnie przytomność ze złości. Jego własne słowa dochodziły do niego jak zza mgły; nie rozumiał ich i nie rozróżniał. Krzyczał bez sensu i związku, wymachując rozpaczliwie rękami. Kiedy wściekłość jego minęła, ocknął się i zobaczył, że plutonowy chowa jego dowód do swej skórzanej torby.

– Idziemy – powiedział krótko.

I zupełnie bezsilny Franciszek Kowalski udał się z nimi na pobliski komisariat.

2

Komisariat znajdował się niedaleko od ulicy, na której zatrzymano Franciszka; szli niecałe dziesięć minut i przez ten czas Franciszek, którego zupełnie opadły siły po wybuchu wściekłości, odzyskiwał stopniowo dobre samopoczucie. Po jakimś czasie usiłował nadrabiać miną, a nawet gwizdać. Był wściekły i oburzony, lecz chciał zachowywać się tak, jak zachowywać się powinien niewinny, do głębi obrażony człowiek. Głowę trzymał do góry,

kroczył pewnie, a kiedy raz potknął się i napotkał szybkie spojrzenie jednego z milicjantów, uśmiechnął się z pełną ironii wyższością. Kiedy wchodzili już w ciemną i długą bramę komisariatu, pomyślał: „Niepotrzebnie się uniosłem. Wszystkiemu winne zmęczenie i wódka; diabli ją rzeczywiście nadali. Z tymi szczeniakami się nie dogadam. Może rzeczywiście wyrządziłem im przykrość? Muszę rozmawiać z kimś rozsądnym”.

Przeszli przez podwórko i weszli do dyżurki, a wejście to odbyło się w sposób szczególny; wszystko trwało moment, lecz wtedy dopiero, po raz pierwszy od chwili zajścia na ulicy, Franciszek poczuł się nieswojo; najpierw młodszy milicjant otworzył drzwi, następnie cofnął się, a kiedy Franciszek wszedł już do środka i postąpił kilka kroków – wtedy dopiero weszli obaj milicjanci, zamykając drzwi, które wydały szczególnie nieprzyjemny odgłos. „Ładne porządki – pomyślał machinalnie Franciszek. – Gdzie jak gdzie, ale tu właśnie powinien być porządek; mogliby je naoliwić. Teraz tylko muszę porozmawiać z kimś rozsądnym”.

Rozejrzał się uważnie, wciąż zachowując kamienny wyraz twarzy. Była to prosta izba o nieokreślonym kolorze ścian, przedzielona po środku barierą; mniej więcej na samym środku farba, którą niegdyś pomalowana została bariera, była wytarta i wyswiecona; Franciszek pomyślał, iż przyczyną tego pewnie jest to, że ludzie zatrzymani opierają się o nią. Na ścianach wisiały portrety dostojników państwowych, nad nimi zaś orzeł. Pod jedną ze ścian stała drewniana ławka; spał na niej jakiś odwrócony tyłem mężczyzna. „Nie można powiedzieć, żeby było tutaj porządnie” – pomyślał raz jeszcze Franciszek i sprawiło mu to pewnego rodzaju złośliwą satysfakcję.

Milicjanci tymczasem zachowywali się tak, jakby Franciszek w ogóle nie istniał. Rozmawiali o czymś półgłosem z mężczyzną siedzącym za barierą; Franciszek słyszał jego nosowy głos, lecz twarzy nie mógł dostrzec; zasłaniały ją plecy stojących milicjantów. Stał bez ruchu około minuty, oczekując, że lada chwila poproszą go, aby przybliżył się i złożył zeznanie, lecz nic takiego nie nastąpiło. Przeciwnie; po chwili wsłuchiwanie się w ich rozmowę Franciszek zrozumiał, że tamci wcale nie mówią o nim: przedmiotem rozmowy był jakiś skradziony przed tygodniem rower; jeden z milicjantów twierdził, iż ukradł go niejaki Pasterka; drugi – że właściciel sam przepił i boi się przyznać żonie. „Szlag niech to trafi – pomyślał Franciszek. – Sam im wobec tego powiem, co o tym myślę”. Przybliżył się do bariery i ze zdumieniem zobaczył, że siedzący za stołem milicjant również jest w randze kaprała. Zaskoczyło go to zupełnie; spodziewał się, że ci, którzy przyprowadzili go tutaj, rozmawiają z oficerem.

– Przepraszam – powiedział głośno i wystąpił na środek. – Czy mógłbym porozmawiać z kierownikiem komisariatu?

Milicjanci rozmawiali jeszcze przez chwilę z kapralem, potem dopiero odwrócili się.

– Chciałbym rozmawiać z kierownikiem komisariatu – powiedział głośno Franciszek.

– A właśnie – powiedział plutonowy. Zwrócił się do kaprała za stołem: – Tego obywatela chyba weźmiemy na przejściówkę. Jak tam dzisiaj jest?

– Trochę towarzystwa – powiedział siedzący za stołem. Popatrzył na Franciszka nie dłużej od mgnienia okiem. – Ale zmieści się.

– Na jaką przejściówkę? – zapytał Franciszek.

– Rozbierajcie się – powiedział plutonowy. Znów odwrócił się i Franciszek widział tylko jego szerokie plecy przecięte skórzanym paskiem na skos.

– Co takiego? – zapytał.

– Nie słyszycie, obywatelu? Proszę się rozebrać. Pasek, szalik, sznurowadła i dokumenty. Również przedmioty.

– Dokumenty już masz – powiedział kaprał, który przyprowadził Franciszka z plutonowym.

– Ale dlaczego, u diabła? – zapytał Franciszek.

Plutonowy odwrócił się i popatrzył na Franciszka ze zniecierpliwieniem.

– Jak to dlaczego? Jesteście zatrzymani. – Powiedział to tonem wykluczającym dyskusję. – Myślicie, żeśmy was tu przyprowadzili, aby uścisnąć wam waszą szlachetną dłoń?

Wszyscy trzej roześmiali się głośno i hałaśliwie. Franciszek był tak zaskoczony, że śmiech ich uszedł jego uwagi.

– Zatrzymany? – powtórzył. – Za co?

– Nie wiecie?

– Nie – powiedział stanowczo Franciszek. Podeszedł teraz zupełnie blisko do bariery i oparł o nią ręce. – Nie wiem. Pamiętam, że się uniosłem w jakiś sposób, ale wydaje mi się, że to jeszcze za mały powód, aby człowieka zatrzymywać przez całą noc w komisariacie.

– Za mały powód? – przeciągnął plutonowy. – A co żeście krzyczeli? Nie pamiętacie już, co żeście krzyczeli?

Popatrzyli na niego wszyscy trzej jednocześnie i Franciszek nagle skulił się. Chwilę trwało milczenie; mężczyzna śpiący na ławce sapał ciężko.

– Nie – powiedział po chwili Franciszek. Przesunął ręką po czole. – Nie pamiętam.

– Więc pogadamy wtedy, jak wytrzeźwiejecie i przypomnicie sobie wszystko dokładnie – powiedział plutonowy. – Wtedy podpiszecie zeznanie i puścimy was do domu.

– A czy nie można by teraz? – zapytał Franciszek. Siedzący za stołem kaprał roześmiał się.

– Jakże chcecie zeznawać – powiedział – kiedy sami mówicie, że nie przypominacie sobie niczego?

– Jak to niczego? Pamiętam wszystko.

– Wszystko? – zapytał drwiąco plutonowy.

Franciszek znów się zmieszał.

– Wszystko – powiedział niepewnym głosem, spoglądając na plutonowego takim wzrokiem, jakby chciał u niego szukać pomocy. – Wszystko... z wyjątkiem tych słów, które krzychałem. Nie potrafię tego po prostu powtórzyć dokładnie, ale jeśli mi przypomnicie...

Wykonał nieokreślony ruch ręką.

– Przypomnimy wam jutro – powiedział plutonowy. – Nie chodzi nam o nic innego, jak właśnie o wasze słowa. A teraz koniec tej dyskusji, obywatelu. Proszę oddać pasek, sznurowadła, szalik i wszystko, co macie w kieszeniach... – Popatrzył na Franciszka jakby z wyrzutem i dodał łagodnie: – Nie utrudniajcie nam pracy, obywatelu.

– Ależ... – zaczął jeszcze raz Franciszek.

Wtedy kaprał siedzący za barierą uderzył pięścią w stół.

– Wy rozumiecie po ludzku czy nie?! – krzyknął. – Dawajcie rzeczy i nie gadajcie tyle, bo wam to nie wyjdzie na zdrowie.

Franciszek drżącymi rękami począł wyjmować posiadane drobiazgi i kłaść je na stół; była tam chusteczka do nosa, grzebyk, lusterko, wieczne pióro i ołówek. Kaprał spisał to wszystko i władował w ogromną kopertę z szarego grubego papieru; na kopercie niezdarnymi literami napisał: „Franciszek Kowalski. Dnia 28 III 1952 r.”. Następnie podeszedł do szafy i otworzył ją; kątem oka Franciszek dostrzegł tam wiele takich kopert; były poukładane równo obok siebie, nie do odróżnienia. Kaprał zamknął szafę i z powrotem usiadł za stołem. Podał Franciszkowi jakiś formularz i wskazawszy miejsce palcem, rzekł krótko:

– Podpiszcie.

Franciszek podpisał i oddał mu papier.

– Jestem starym partyzantem – rzekł gorzko. – Nigdy w życiu nie popełniłem niczego takiego, za co nie mógłbym spojrzeć ludziom w oczy. – Począł wyrzucać z siebie coraz prędzej: – Ktoś musi być ukarany za to nieporozumienie. Tak nie może być, żeby człowieka

zamykano nagle za to, że wypił parę kieliszków wódki. Możecie mi wierzyć, że pierwszy raz w życiu jestem na komisariacie.

– To bardzo ładnie z waszej strony – powiedział kapral, nie spojrzawszy nawet na niego. – Ale kiedyś trzeba przecież zrobić początek.

Plutonowy rzekł:

– A teraz pozwólcie ze mną.

Trzymając spodnie rękami, Franciszek udał się za nim. Przeszli kawałek bardzo brudnym korytarzem, którego ciemność zaledwie odrobinę rozświeślały zawieszone pod sufitem i odrutowane, słabe żarówki; potem plutonowy otworzył jakieś drzwi i powiedział: – Tutaj.

Franciszek wszedł; chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz w tym momencie zatrzasnęły się drzwi. Stał chwilę bez ruchu nasłuchując; jego myśli nie nadążały za tempem wypadków. Oparł się ręką o ścianę i cofnął ją ze wstrętem; była szorstka i zimna, trzymała się tutaj wilgoć. Kroki plutonowego umilkły.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI